


Kraina wiecznie dzika

Przez ponad pół wieku surowa kalifornijska dzika kraina Ishi ukrywała "ostatniego dzikiego Indianina". Do dziś miejsce to zachowuje swoje tajemnice. Był żywym dowodem na to, że kiedy na niebie pojawiały się samoloty, a model forda T na autostradzie, że gdy reszta świata wkraczała pewnie w epokę przemysłową, jakaś zapomniana rasa ciągle żyła w epoce kamiennej, zaledwie dzień drogi na północ od Sacramento. Mieszkali tam, w pobliżu cywilizacji, przez 40 lat i nikt o nich nie wiedział. Nikt nie mógł tego wiedzieć. Ziemia, z której przyszedł Ishi do dziś umiejętnie strzeże swych tajemnic.

WCZESNYM RANKIEM, DNIA 29 SIERPANIA 1911, w pobliżu rzeźni w Oroville, w Kalifornii  rozległo się szczekanie psów. Jeden z pracowników, który wyszedł je uspokoić, gwałtownie zawrócił: "Tam - powiedział zdyszany - tam c o ś jest"...

Na wezwanie pracownika szeryf i jego ludzie natychmiast pojawili się na miejscu, uzbrojeni w strzelby i kajdany, zapędzili "dzikiego" do zagrody dla bydła. Dziwny człowiek miał na sobie jedynie obdartą, płócienną koszulę, był bosy, brudny i wygłodzony, a w dodatku mówił językiem, którego żaden z nich nigdy przedtem nie słyszał.

Przez następne pięć lat ta wystraszona postać miała być znana światu jako "Ishi, ostatni dziki Indianin w Ameryce". Dziesiątki tysięcy zwiedzających miało ścigać do muzeum San Francisco, aby oglądać nowy, żywy "eksponat".


"Ostatni Dzikie Człowiek" miał jadać z rektorami uczelni, uczyć się na wodewilowe przedstawienia, uczyć się jak korzystać z trolejbusów, a przede wszystkim dostarczać antropologom bezcennych informacji dotyczących życia, języka i kultury rdzennych mieszkańców Kalifornii.

Ale to wszystko miało dopiero nadejść. Tymczasem, otoczony przez pracowników rzeźni, wyglądał, jakby wypadł z dziury czasu.

Jest późno po północy. Redaktor 'BACKPACKER', Tom Shealey i ja obozujemy na brzegu Mill Creek, granicy obszaru, który w 1981 roku oficjalnie nazwano Dziką Krainą Ishi (Ishi Wilderness). Jest to obszar głębokich kanionów i skalistych wzgórz, rozciągający się na południe od parku narodowego Mt. Lassen. W tej chwili jednak widok na owe kaniony i wzgórza, a nawet na nasze dwa namioty, przesłania burza śnieżna, zakotwiczona jakby na wysokich szczytach gór.

Mill Creek płynie dziko kanionem, biegnie wzburzona dnem wąwozu, pobudzona przez późnowiosenną burzę. Drzewa kołysane przez wiatr zdają się mówić ludzkim głosem. Mieliśmy dokładnie przygotowany plan - najpierw zabawimy parę dni u wybrzeży Mill Creek, potem przeprawimy się przez górzysty teren na południe, aby wreszcie zagłębić się w dziczy, w poszukiwaniu odpowiedzi na zagadkę historii Ishi. Wiele lat obaj marzyliśmy o zbadaniu tej ziemi. Przeczytaliśmy wiele książek, oglądaliśmy nagrania wideo. Nazwy brzmiały dla nas wręcz legendarnie: Mill Creek (Młyński Potok), Deer Creek (Jeleni Potok), Bear's Hiding Place (Niedźwiedzia Kryjówka). To taki dziki i pełen tajemnic obszar, że przez czterdzieści lat mógł skrywać przed innymi całą kulturę. A teraz jesteśmy tu i tę tajemnicę chcemy odkryć dla siebie.

Niestety, każda pojedyncza kropla deszczu na naszym namiocie oznacza kolejny płatek śniegu w górach. Do rana ten wiosenny śnieg będzie w górach sięgał do kolan, uniemożliwiając wędrowkę, zamykając przed nami wrota do tajemnicy, przykuwając nas do namiotów. Najlepsze, co możemy teraz zrobić to położyć się spać, z nadzieją, że potok nie wzbierze i, z szeroko otwartymi oczyma w ciemności, słuchać opowieści szeptanych na wietrze.

Przez prawie 4 000 lat potok płynący w ciemnościach nocy tuż za naszymi namiotami  był centrum krainy plemienia Yahi. Plemię liczące 300-400 osób, choć połączone kulturowo z zamieszkującymi dookoła Yana, zachowało jednak swój odrębny język, obyczaje i terytorium. Byli to myśliwi-zbieracze, latem łowili łososie, a na chłodniejszych stokach Mt. Lassen (teren ten nazywali Waganupa) polowali na jelenie i chronili się przed skwarem lata. Jesienią Yahi obchodzili święto zbiorów, kiedy to gromadzili żołądzie. Zimy spędzali w prowizorycznych szałasach na słuchaniu opowieści, struganiu grotów i wygrzewaniu się pod ciepłymi okryciami ze skór dzikich kotów i królików.

Yahi znani byli sąsiednim plemionom jako ludzie niezwykle lojalni, dobrzy myśliwi i wojownicy, a także zaciekli obrońcy swej ziemi i kultury. Te przymioty służyły im dopóty, dopóki najwartościowszą rzeczą w potokach był łosoś. Jednak w 1849 wszystko zaczęło się zmieniać.

Przewracam się niespokojnie w śpiworze, pomimo ulewnego deszczu słyszę huk potoku, woda wzbiera, a kamienie w strumieniu toczą się jak kości.

Odkrycie złota w Kalifornii w 1849 zwiabiło masę ludzi do tego surowego i odległego regionu, jak dotąd niewartego uwagi białego człowieka. Jednak odkąd pojawiło się złoto, nic nie mogło stanąć na przeszkodzie w zdobyciu tej ziemi, nawet jej rdzenni mieszkańcy, tak do niej przywiązani.

"Nie sądzę, aby określenie tego, co się stało mianem holocaustu było zbyt mocne"- mówi Orin Starn, profesor antropologii kulturowej na uniwersytecie Duke, pracujący nad książką opisującą te czasy. "Do końca stulecia liczba rdzennej ludności zmalała z 300 000 do zaledwie 30 000". Jednych zniszczyły choroby (odra i ospa wietrzna), innych zepchnięto do rezerwatów, wielu zabito na miejscu. W tym czasie stan Kalifornia oferował 50 centów za skalp, a 5 dolarów za głowę Indianina. Ponad milion dolarów zostało wypłacone.

Słyszę, jak gałęzie nad naszymi namiotami trzeszczą we wzmagającym się wietrze. Siadam w namiocie, zapalam świecę i patrzę na niespokojny płomień - migocze przez chwilę i wreszcie gaśnie. Proces wydobywania złota na ziemi Yahi powodował zamulanie strumieni i rujnowanie trasy wędrówek łososi. Świnie i bydło wyjadły żołądzie. Yahi, będąc wojownikami, zrobili wszystko, co mogli - bronili się dzielnie i wytrwale. Niestety, ich broń była przeznaczona do polowań na jelenie i łososie - nie mogła sprostać strzelbom bezlitosnych ludzi. W konfrontacji z białymi Yahi byli bez szans. "Bitwy" - a raczej rzezie - były krótkie, zdecydowane i makabryczne.

Przed świtem, dnia 15 sierpnia 1865, siedemnastu uzbrojonych mężczyzn przedzierało się pod osłoną nocy przez zarośla i głązy wyścielające Mill Creek. Huk wody zagłuszał każde obsunięcie stopy, każdy trzask gałązki. Zajęli pozycje wzdłuż klifów i czekali na wschód słońca, żeby łatwo wymierzyć w cel. Kiedy wyszło słońce, padła komenda i spokojny kalifornijski poranek eksplodował ogniem i hukami kanonady pocisków.

Trwało to tylko chwilę. Zdezorientowanej grupie zaledwie około 50 Yahi musiało wydawać się, że świat się kończy. Atakujący - jak wspominał później jeden ze strzelców - "zalali ogniem" obozowisko Indian. Mężczyźni wraz z kobietami i dziećmi zostali zastrzeleni zanim zdążyli się ubrać. Ci którzy zerwali się do ucieczki natychmiast upadali ze śmiertelnie kulą w ciele, jak ptaki próbujące się zerwać do lotu - ugodzone w skrzydła. Pozostali przy życiu rzucali się w nieustające fale pocisków i kierowali do jedynej miejscy, które mogło dać jakąkolwiek szansę ucieczki - Mill Creek. "Niewiele wydostało się stamtąd żywych" - napisał później jeden z naocznych świadków - "Za to wiele martwych ciał płynęło w dół wraz z prądem rzeki."

Kilkoro pozostałych przy życiu Yahi, niezauważonych wśród płynących ciał, w tym 4-letni chłopiec z matką, dryfowało w dół strumienia, po czym zniknęło w zaroślach.

W ciemności szum potoku brzmi jak pieśń zmarłych. Na długo przed świtem wyczołguję się z namiotu, sprawdzam czy będzie trzeba przenieść obóz przed wschodem słońca. Coś porusza się

wzdłuż wody - widzę Toma, pewnie też bada stan wody, myślę. Ale nie, wygląda raczej jakby czegoś szukał wśród skał. Po chwili bez słowa wczolguje się z powrotem do namiotu, strząsając wodę ze swojej przeciwdeszczowej kurtki.

Kilka lat później, w 1868 r., w jednej z jaskiń wśród klifów kanionu kolejna grupa Yahi została bestialsko rozstrzelana. Do zaskoczonych ludzi, głównie kobiet i dzieci, strzelano z tak bliskiej odległości, że nawet jeden ze strzelców odmówił użycia swojego 56-kalibrowego karabinu Spencera, bo "tak okropnie rozrywał kobiety i dzieci". Użył w zamian pistoletu.

Od 1868 r. większość ludzi żyło w przekonaniu, że Yahi zostali zgładzeni, podobnie jak 50 innych rdzennych kultur kalifornijskich. Byli jednak w błędzie. Ze względu na dziki charakter tego regionu mieli się o tym przekonać dopiero za 40 lat.

Ranek nadchodzi wraz ze słońcem, jasna plamka na szarym płaszczu nieba budzi dzień. Poziom wody w rzece przestał się podnosić, jednak ciągle pada. Pod parasolem z gałęzi, na mokrym piecyku gotujemy śniadanie. Tom wzdrygnął się, bynajmniej nie z powodu kropli zimnej wody, która spadła mu na szyję.

- Dziwnie się czułem tej nocy - powiedział - rozmyślałem o wszystkim co się tu wydarzyło. Chyba w ogóle nie spałem.

Mgła powoli znika, teraz widzimy, że stoki są spowite bielą. Śnieg sięgnął prawie poziomu dolin. Mieliliśmy nadzieję posunąć się dalej w głąb tej dzikiej krainy, do kanionu Deer Creek, teraz jednak wszystkie szlaki są nieprzetarte.

- Wiesz, jak Yahi nazywali kwiecień? - pytam Toma. - Potrząsa głową sącząc kawę - Księżyc ostatnich śniegów - uśmiecham się.

Żaden z nas nie chce mówić tego na głos, ale jest oczywiste, że dzisiaj nie zwiniemy obozu. Z dziennym zapasem wyruszamy pieszo. Trzymamy się niskich wzniesień podążając za niewyraźnym szlakiem na dalekim brzegu Mill Creek. W końcu gubimy go w plątaninie gąszczy i skał. Wracamy, odnajdujemy szlak i próbujemy od nowa. Nic z tego, po godzinie zmagania porzucamy jakąkolwiek nadzieję na odnalezienie szlaku i najzwyczajniej przedzieramy się coraz głębiej w zarośla.

Jest to urwisty, nierówny teren - wszędzie ostre skały, trujące odmiany dębu i krzaki drapiące po oczach jak szpony. Każda skrzyżowana gałąź przybiera kształt grzechotnika. Jeden z autorów tak opisał ziemię Yahi: "Cały ten obszar jest jedną masą popękanych skał. Jedne wielkości głowy, inne kamienicy. Każda szczelina pomiędzy kamieniami pokryta jest niemożliwym do przebycia porostem dębów i innych krzewów. Jest to - pisał autor - pofałdowany gąszcz gałęzi i koron drzew, pośród których tysiące ludzi mogłoby mieszkać nigdy niezauważonych".

Miał rację.

Nie było ich wprawdzie tysiąca, lecz jedynie garstka Yahi, która uszła z masakry z życiem. Było ich pięcioro, a może sześcioro... Przepłynęli Mill Creek i ukryli się w kanionie Deer Creek. W jego sercu znajduje się gęsta plątanina skał i zarośli, którą nazywali Kryjówką Niedźwiedzia. Jest to niewielki obszar, o powierzchni zaledwie kilkuset hektarów, jednak skały są tu tak ostre, a krzaki tak gęste, że unikało ich nawet bydło. Było to dla Yahi jedyne miejsce, gdzie kule białych nie mogły ich osiągnąć. Ziemia, która ich wychowała, teraz miała się stać dla nich kryjówką.

We wczesnych latach 80-tych XIX w. walcząc o przeżycie Yahi zaszyli się w Niedźwiedziej Kryjówce. Mieli tu pozostać niezauważeni przez prawie pół wieku.

Czołgamy się na łokciach i kolanach przedzierając przez zarośla. W pobliżu nasady ogromnej sosny ponderosa Tom znajduje dół po ognisku. Jest bardzo stary i głęboki, wypełniony ziemią, liśćmi i kamieniami. Jest właśnie takim miejscem, jakiego mogli szukać Yahi - ukryte przed wzrokiem, ze wszystkich stron otoczone gąszczem, z możliwością obserwowania okolicy przez gałęzie. Nasze oczy

spotykają się bez słowa.

Przez 40 lat w zasięgu słyszalności pociągów i tylko dzień drogi od ulic miasta ostatni potomkowie Yahi kurczowo trzymali się życia. Rozciągali jelenie skóry by zamaskować blask ognisk, skakali z głazu na głaz unikając pozostawiania śladów na piasku, uważnie przedzierali się przez zarośla, żeby nie zostawić żadnej złamanej gałązki. "To właśnie dzięki swej elastyczności charakteryzującej rdzenne ludy Kalifornii, Yahi mogli przetrwać tak długo, w tak trudnych warunkach i kultywować swą ogromną skarbnicę wiedzy i mądrości plemiennej" - mówi profesor Starn.

Jednak nie mogło to trwać zbyt długo. Obawa, że zostaną odkryci przez białych trzymała ich zamkniętych w swej kryjówce. Nie mogli już dłużej otwarcie polować na płową zwierzynę ani łowić ryb w świetle dnia. Nawet tak prosta czynność, jak zbieranie żołądzi wiązała się z ryzykiem życia.

Jeden po drugim zaczęli umierać. W 1908 Ishi został sam. Trzy lata później przepędzony głodem i prześladowany samotnością, której zapewne nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, ostatni Yahi rozpoczął wędrówkę na południe, wędrówkę, która zaprowadzić go miała do owej rzeźni w pobliżu Oroville i do wyjścia z zaklętego czasu.

Prawdopodobnie Ishi zakładał, że zostanie zabity przez pierwszego napotkanego białego człowieka. A jednak świat się zmienił. Chociaż na początku uwięziono go w celi dla obłąkanych, to jednak wkrótce Ishi został przekazany pod opiekę antropologa Alfreda Kroebera z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i do nowo ukończonego muzeum antropologii Phoebe Hearst.

Z godnym podziwu wdziękiem, inteligencją i bezgraniczną cierpliwością Ishi przystosowywał się do swego nowego otoczenia, wraz z jego wszystkimi wygodami i niespodziankami, jak światło elektryczne, bieżąca woda, czy wygodne krzesła. Przez prawie 5 lat Ishi pracował z naukowcami, lingwistami i antropologami budując pomost pomiędzy jego kulturą Yahi a nowoczesnym życiem. Lata pracy w muzeum, a zwłaszcza ekspedycja do Deer Creek w 1914 r., dostarczyły antropologom mnóstwo bezcennych informacji - setki opowieści i pieśni plemiennych nagranych na woskowe cylindry, 200 yahijskich nazw upamiętnionych na mapach, a także lecznicze zastosowanie ponad 100 roślin.

Mimo to, wciąż większość zagadek o Ishi pozostaje niewyjaśnionych. "Do pewnego stopnia Ishi zawsze pozostanie dla nas zagadką" - mówi dr. Starn - "Nauczył się tylko paręset słów po angielsku, a ludzie, z którymi pracował nigdy nie byli w stanie całkowicie opanować języka Yahi. Do dziś tony materiału, którego dostarczył pozostaje nieprzetłumaczone, lub tylko częściowo przetłumaczone. Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi."

Nigdy nie znaleźmy jego prawdziwego imienia. Słowo 'Ishi' w języku Yahi oznacza po prostu 'Człowieka' i zostało mu nadane przez Kroebera, aby zadowolić dziennikarzy. Nigdy nie poznaliśmy szczegółowych losów tych kilku członków jego plemienia, którzy ukrywali się z nim w Niedźwiedziej Kryjówce. Nigdy nie poznamy prawdziwej głębi samotności, którą musiał odczuwać przez trzy ostatnie lata w dziczy mając świadomość, że jest ostatnim ze swego plemienia.

Odpowiedzi na te pytania zabrał Ishi ze sobą do grobu, kiedy 25 marca 1916 umarł na gruźlicę. Ostatni dziki Indianin w Ameryce został poddany kremacji, jego prochy spalono wraz z jego łukiem i pięcioma strzałami, koszykiem potrawy z żołądzi, płatkami obsydianu i odrobiną tytoniu. Yahi odeszli.

Tom i ja kierujemy się w stronę obozu. Nieoczekiwanie wychodzi słońce i rzuca oślepiający blask na śnieg, który zaczął już topnieć. Gdybyśmy przeczekali jeszcze parę dni, być może mielibyśmy szansę przedrzeć się do kanionu Deer Creek, żeby odnaleźć Niedźwiedzią Kryjówkę - myślimy. Podczas gdy zwijamy obóz, zauważają nas trzej wędrowcy; oznajmiają, że szykuje się kolejna burza i prognozy mówią o opadzie kolejnych 30 cm śniegu. Jeśli nie odejdziemy teraz, droga, która już jest

niebezpieczna, stanie się niemożliwa do przebycia.
Nie mamy wyboru.

Kiedy dochodzimy do głównego szlaku, by załadować samochód, widzimy jak pierwsze kosmyki chmur gromadzą się nad wierzchołkami gór. Trudno odjeżdżać nie osiągnąwszy tego, po co przyjechaliśmy. Nie udało nam się przemierzyć całego kanionu Deer Creek, ani dotrzeć do tajemniczej Niedźwiedziej Kryjówki, podążając ostatnimi śladami ludzi Ishiego. Ale być może tak właśnie powinno być. Ta ziemia zawsze była dzika i tajemnicza - i taką wciąż pozostaje, dobrze wiedząc jak kryć swoje tajemnice.

Jeff Rennie

PODRÓŻ DO DOMU

Odwieczna kontrowersja wokół kremacji Ishiego może wkrótce zostanie zakończona. W marcu 1916, gdy Ishi leżał umierający w szpitalu w San Francisco, jego przyjaciel, antropolog Alfred Kroeber błagał lekarzy, by nie przeprowadzali sekcji zwłok. Yahi wierzyli, że aby osiągnąć życie wieczne, całe, niezniszczone ciało martwego musi zostać spalone. Prośby Kroemera zostały jednak zlekceważone i dopiero po dokonaniu autopsji ciało Ishiego zostało spalone. Nie całe jednak - część prochów pogrzebano na kalifornijskim cmentarzu Colma, natomiast mózg dla potrzeb naukowych został zakonserwowany.

Miejsce, gdzie go przechowywano pozostawało tajemnicą do roku 1998, kiedy odkryto go w chłodni w stanie Maryland należącej do Smithsonian Institute.

Wkrótce organizacje indiańskie wystąpiły o zwrot mózgu Ishi, na podstawie Aktu o Ochronie Grobów i Repatriacji Rdzennych Amerykanów. "Chcemy sprowadzić naszego brata do domu i dać mu odpowiedni pogrzeb w jego ojczystej ziemi." - powiedział Art Angle z Butte County Native American Cultural Commission. "Dusza Ishiego musi wreszcie zostać uwolniona".

Urzednicy Smithsonian ogłosili ostatnio, że zwrócą szczątki Ishiego plemieniu Pit River, najbliższym krewnym wymarłych Yahi. Czas ucieka, a przedstawiciele Pit River jeszcze nie podjęli ostatecznej decyzji, skłaniają się jednak do planu, aby szczątki Ishiego zostały zwrócone dzikiej krainie, z której pochodził.

- J. Rennie

Backpacker, wrzesień 1999
Tłumaczyli: Ola Pasterny i Janusz Korbel

Przedruk za zgodą magazynu BACKPACKER

Copyright Rodale Press, Inc., wszelkie prawa zastrzeżone.

Dziękujemy wydawcy Backpacker za uprzejmą zgodę na przedruk artykułu w Dzikim Życiu.